

HALINA BAJORSKA

# DZIECI NOCY

TOM 1

LEKKA I ZABAWNA  
KOMEDIA SENSACYJNA  
DLA KAŻDEGO



© Copyright by Halina Bajorska  
Projekt okładki: Maciej Piedo  
skład: Halina Bajorska  
ISBN 978-83-934648-8-3

Część druga: „Integracja”

Część trzecia: „Darzbór”

## ROZDZIAŁ 1

Cisza i spokój pustego już biura, przygaszone światło, lekki szum pracującego komputera, biały blask monitora delikatnie muskający twarz i kubek z ciepłą jeszcze kawą... no! Tak można pracować całe wieki.

Szpakowaty mężczyzna intensywnie wpatrywał się w kolejne dane pojawiające się na ekranie, za każdym razem kiedy kliknął myszką. Krzaczaste, z lekka siwiejące brwi, to zbiegały się ku sobie, to podskakiwały lekko. Najczęściej jednak tkwiły mocno ścignięte, opadając na szare bystre oczy. Mignęły kolejne kolumny tekstu, jakieś zdjęcia twarzy, nawet kołowy wykres (zupełnie nieprzydatny i bez sensu), kolejne drgnięcie brwi...

– Panie Walkot!

Zaskoczony mężczyzna drgnął, odruchowo wstrzymując oddech i nerwowo spojrzął w stronę, skąd dochodził nieco skrzekliwy, niski, lecz bardzo stanowczy głos.

– A niechże już pan idzie do domu! Na litość Boską!

Odetchnął znużony.

W drzwiach pokoju stała kobieta, o której można było śmiało powiedzieć, że jest bardzo dużą przedstawicielką płci pięknej, chociaż o pięknie raczej nie wypadało przy niej wspominać. Wielką sylwetkę okrywał szary, czysty fartuch a spracowane dłonie trzymały ścierkę i butelkę z jakąś chemią.

– No tak... która to, o w mordę! Skończę jeszcze tylko jedną rzecz i już mnie nie ma. Proszę się nie krępować, pani Drush i robić swoje. Zresztą nie naśmiecilem dzisiaj za wiele, więc nie ma co tu sprzątać.

– Pozwoli pan, że ja sama to ocenię, inspektorze. Pan ma swoją robotę a ja swoją i chciałabym już iść do domu.

– Aaa, tak. Oczywiście... – zmieształ się.

Ta bezpośrednia, ale uczciwa kobieta zawsze wzbudzała w nim dziwne poczucie winy.

– Tylko jeszcze druknę parę rzeczy. Mam nadzieję, że Susan i Keizo podeślą mi jutro listę z kolejnymi cmentarzami do sprawdzenia i nowymi portretami... i chyba to będzie na tyle, bo nic więcej nie mamy.

Po co ja jej to mówię, do cholery, pomyślał zaskoczony inspektor i zły na siebie potrząsnął głową. Chyba naprawdę był zmęczony.

Pani Drush wywróciła oczami i potoczyła się do sąsiedniego pokoju. Cmentarze! No czegoś takiego jeszcze nie słyszała. Łapanie zbirów na ulicach jest w porządku, ale bieganie po cmentarzach i szukanie jakichś zboczeńców... no ok, to też jest w porządku. Oby tylko nikomu nic się nie stało. Tu pracują porządni ludzie.

Inspektor Walkot potarł twarz. Dochodziła 22.15. Zerknął przez szklaną ścianę pokoju na salę biura. Boksy ze stołami zawalonymi papierami i uśpionymi monitorami były niepokojąco ponure, jakby martwe, opuszczone na zawsze. Ostatni pracownik właśnie zbierał się do domu, pakując papierową teczkę do aktówki. Zobaczywszy inspektora, kiwnął głową i szybko ruszył do wyjścia, błagając w myślach Stwórcę, by nie przyszło nagle przełożonemu do głowy, żeby go zatrzymać.

Inspektor nawet nie zdążył odpowiedzieć. Jego brwi znowu zbiegły się nad oczami a usta zacisnęły w wąską kreskę. Zdecydowanym ruchem myszki zainicjował druk pliku i jak tylko drukarka wypuła cztery kartki, przejrzał szybko ich zawartość czy czegoś nie przeoczył.

– Dorwę cię, Lordzie, jak ci tam... – niemal szepnął do siebie przez zęby. – Dorwę i spalę twoje truchło!

Wyłączył komputer, pozbierał swoje rzeczy i ruszył do wyjścia.



Noc, podczas której inspektor Tom Walkot niespokojnie przewracał się w łóżku z boku na bok, a jego zatroskana żona zerknęła na niego, próbując zasnąć, była wyjątkowo piękna. Już

dawno nie oferowała tak pełnego zestawu wszelkiego rodzaju gwiazd, od ledwo widocznych, poprzez błyszczące jaskrawo i złowieszczo na prawie czystym czarnym niebie. Od czasu do czasu pojawiała się smuga światła spadającego meteorytu, co na szczęście, wcale nie musiało zapowiadać wojny. Co niektórzy jednak mieli absolutną pewność, że po takiej nocy można się spodziewać nadejścia dziwnych i tajemniczych wydarzeń, niekoniecznie przyjemnych.

Straszący ciemnymi plamami księżyc powoli sunął po niebie a sine poszarpane obłoczki wijące się tuż nad horyzontem, tylko na krótko przysłaniały jego niebezpiecznie hipnotyzującą tarczę. Była tak jasna, że w sposób oczywisty mogła budzić w ludziach jedynie niepokój, czasami nawet uzasadniony.

Dwaj młodzi, około trzydziestoletni mężczyźni siedzieli na balkonie podrzędnego motelu w wygodnych słomianych fotelach. Jego właściciel zdecydował się ulokować swój interes na trasie do Londynu i jak do tej pory nie żałował tej decyzji. Turyści bardzo często zatrzymywali się tu na noc, by rano spokojnie ruszyć dalej wprost do stolicy.

Pierwsze piętro, gdzie znajdował się balkon a na nim mężczyźni, nie był jakimś szczególnym miejscem, skąd można podziwiać widok. Parking, ginąca w ciemnościach szosa i nieprzyjemnie czarna ściana lasu, tuż za nią, to było to, czego większość turystów raczej nie ma ochoty oglądać o drugiej w nocy. Niedaleko, na pobliskim drzewie, zawzięcie zaczęła hukać sowa, co przypomniało niektórym nocnym markom, że pora już schować się pod kołdrę.

Obaj panowie, ubrani w sportowe bluzy z kapturami i dzinsy trzymali nogi na ozdobnej balustradzie balkonu. Ta pólężąca

pozycja pozwalała im nie tylko relaksować się po długim joggingu, jaki często uprawiali nocą, ale i opierać na brzuchach szklanki z czerwonym sokiem, który z lubością popijali małymi łydkami. Niestety, zapas soku kończył się powoli i panowie będą musieli pomyśleć o zdobyciu nowego. Ta świadomość zawsze budziła w nich lekkie podniecenie. Zdobywanie soku... Tak, to jest to, co naprawdę lubili najbardziej.

– Nieźle te gwiazdy... – mruknął od niechcienia czarnowłosy szczupły mężczyzna w bordowej bluzie.

– Mhm... Sporo ich – przyznał drugi, również czarnowłosy.

Umilkli zasłuchani w ciszę nocną i sowę. Był to w tej chwili jedyny odgłos przyrody. Ponure echo rozpływało się po okolicy i ginęło w pobliskim lesie.

Pozostałe niepokojące dźwięki miały swe źródło znacznie bliżej, bo dochodziły z jednego z pokoi hotelowych. Nie wszyscy bowiem, z nielicznych gości, spali smacznym zdrowym snem, tak jak powinni to robić ludzie prowadzący dzienny tryb życia. Jakaś para kochanków, z zapamiętaniem rozpoczynała swą trzecią grę miłosną, drażniąc zmysł słuchu sąsiadów w sposób bezczelny i bezwstydnym.

– Zemel... – jęknął mężczyzna w bordowej bluzie. – Dlaczego ludzie mnie nie lubią. Co ja im takiego zrobiłem, że zawsze mnie nienawidzą.

– Nie wiem, Romes – westchnął nieco znużony Zemel. – Już mógłbyś przestać o tym myśleć, bo w końcu zwariujesz.

– Przecież jestem przystojny, uprzejmy dla wszystkich, dobry, skromny, naprawdę się staram... Dlaczego, do cholery, kobiety się mnie boją!

Zemel zerknął z ukosa na przyjaciela, dyskretnie oceniając jego „przystojność”. Fakt. Był przystojny. Westchnął ciężko. Od czterech lat słyszał ciągle to samo pytanie, na które nikt nie znał odpowiedzi.

– No bo, cholera, nie rozumiem tego! – Romes zdjął nogi z balustrady i wyprostował się w fotelu. – Dlaczego tylko zwierzęta dostają świra na mój widok! Przecież jestem dla nich katem!

– Stuknijmy się. Trzeba jakoś osłodzić sobie ten los.

Brzęknęły obie szklanki, czerwony sok zafalował delikatnie i kolejna porcja zniknęła w gardłach mężczyzny.

Jakby na potwierdzenie, że los naprawdę brutalnie zadrwił z Romesa, ciszę nocną przeciął wyjątkowo spazmatyczny jęk podekscytowanej kochanki i jej partnera. Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę.

– Co za cholernie frustrujące odgłosy!

– Jak chcesz, mogę ich uciszyć.

– Daj spokój. Niech się jeszcze pocieszą życiem – mruknął nieszczęśliwy Romes tonem „widzisz, jaki jestem uprzejmy?”

– Zaraz, zaraz... to podobno było czyjeś ulubione powiedzonko... kto to był...

– Co mnie to obchodzi.

– Niech się jeszcze pocieszą życiem... niech się pocieszą...

– Na pewno jakiś podglądacz.

– Nie, nie, czekaj... niech się pocieszą... ROMES!!!

– Co!

– LORD!!!

– Jaki Lord?!

– No ten... jak on się nazywał....

– Ach TEN! – zaniepokoił się na dobre Romes. – Co z nim?

- Który dzisiaj jest?!
- Piętnasty września!
- ... o jasny gwint... To już jutro!
- Na kły! Faktycznie! Czy ty zawsze musisz przypominać sobie wszystko w ostatnim momencie?!

Mężczyźni błyskawicznie dopili krew, gdyż to ona właśnie była tajemniczym sokiem, po czym rzucili się do pokoju. W minutę spakowali swoje rzeczy i wybiegli na oświetlony słabym światłem parking. Nerwowym ruchem Romes otworzył drzwi najnowszego, czarnego modelu audi, a już po chwili pędzili przed siebie, zostawiając za sobą przytulny motel i Londyn, jako że to właśnie miasto i jego mieszkańcy nie było przedmiotem zainteresowania mężczyzn.

Celem wyprawy była mała, zapomniana przez cały świat wioska, otoczona lasem, leżąca gdzieś z dala od ruchliwych dróg. Oprócz tego, że była zapomniana, posiadała również mało wpadającą w ucho nazwę, której nikt z przejezdnych nie starał się nawet zapamiętać. Było to bardzo praktyczne i wygodne nie tylko dla tubylców.

Obaj przyjaciele, pokonując prawie dziewięćdziesiąt kilometrów, dotarli na miejsce w niespełna pół godziny, pędząc na złamanie karku, co w przypadku wampirów nie miało jakiegoś szczególnego znaczeni.



– Kot! Znajdź czarnego kota, a ja zajmę się resztą! – zawołał Zemel, kiedy tylko z piskiem opon zahamowali na parkingu, tuż przed wejściem na cmentarz, gdzie wiek najstarszych grobowców sięgał aż XV wieku. Stała tam już elegancka czarna limuzyna i obaj panowie zaklęli siarczyście.



Zemel w pośpiechu skierował się w stronę bramy cmentarza lecz natychmiast został zatrzymany przez przyjaciela, który mocno chwycił go za ramię.

– Ani się waż wchodzić! Masz w sobie klątwę! Przejdź dookoła cmentarza i przeskocz przez mur przy grobowcu, jak najbliżej. Rozumiesz?

– Ee, tak, tak... – przytaknął podejrzanie szybko Zemel i ruszył powoli wzdłuż muru.

Romes westchnął ciężko. Nie ufał przyjacielowi, ale nie było czasu. Niedługo wzejdzie słońce, trzeba działać.

Swym nienaturalnie szybkim biegiem rzucił się w stronę najbliższych domostw. Doskonale wiedział, jak się zabrać za niełatwe, choć przyjemne zadanie. Zwierzęta go uwielbiały, więc wykorzystywał to w sposób bezwzględny. Ich pachnąca naturą i dzikością krew była dla niego więcej warta niż ludzka, nasączona alkoholem, prochami i chemią spożywczą, doprawdy sam nie wiedział dlaczego. Przecież ostatecznie, chociaż był wampirem, też lubił dragi i alkohol...

Romes stanął pośrodku asfaltowej drogi, oczy zabłysły mu delikatną czerwienią, skupił się i wyprostował, omiatając gniewnym spojrzeniem całą okolicę. Koty... koty... kici, kici... Na miłej, przyjemnej twarzy wampira zagrał dyskretny, ale wyjątkowo zjadliwy uśmiezek. Koty... przybądźcie... kici, kici... Czekał.

O prawie trzeciej nad ranem cicha, zatopiona w bujnych krzakach wioska spała w najlepsze. I bardzo dobrze. W przeciwnym razie zdumieni mieszkańcy byliby świadkami doprawdy niecodziennego zjawiska. Otóż z setek skrytek, najciemniejszych dziur i zakamarków lub wręcz wprost z puchowych poduszek i pościeli opiekunów, zaczęły wychodzić

koty wszelkiej maści, wielkości i płci. Wszystkie, otumanione, nieznaną siłą woli, której w żaden sposób nie potrafiły się oprzeć, opuszczały swe bezpieczne kryjówki i w pośpiechu kierowały w stronę wysokiej szczupłej sylwetki mężczyzny. Jakies pięć minut później wokół nóg Romesa kręciło się stadko około dwudziestu paru kotów i wciąż przybywały nowe. Wszystkie starały się przytulić do nóg swego nowego pana, mruzczały przymilnie i warczały jedno na drugie, walcząc o uprzywilejowane miejsce. Romes przez chwilę przyglądał się zwierzakom, mrużąc oczy. Do wyboru, do koloru. Może powinien jeszcze trochę poczekać, aż przybędą wszystkie koty, ale nie było już czasu. Szukał tego jedyne. Kucnął, zabierając się do pracy. Dotykał każdego kota, głaskał je delikatnie i smyrał pod bródką, sprawdzał.

– Macie dziś szczęście, że już jadłem – powiedział. – Ty... nie, ty się nie nadajesz... ty też nie. O, jaki jesteś ładny! Ciebie bym oszczędził, tak czy inaczej. Cholera! Żaden z was... Tylko dwa czarne? Niedobrze...

I nagle zobaczył go. Wspaniały, potężny kocur. Szedł spokojnie, miarowo, bez zbędnego pośpiechu. Jego mięśnie, niczym napięte struny, przemieszczały się pod futrem z wdziękiem tancerza. Cudowny widok dla kogoś, kto myśli wyłącznie o żyłach, ścięgnach i mięśniach. Kocur usiadł na wprost i dumnie zadarł głowę. Żółte oczy wpatrzyły się nieruchomo w czerwone, hipnotyczne błyski wampira ani na chwilę nie tracąc go z widoku. Zwierzak promieniował siłą i elegancją, roztaczając wokół siebie mocną aurę charyzmy. Romes odniósł wrażenie, że ma przed sobą prawdziwego kociego boga. Myślący i inteligentny, silny i władczy kocur. Zabójca myszy i ptaków. Pogromca. Samiec alfa. Wampir

uśmiechnął się odsłaniając kły, które mimowolnie lekko się wysunęły.

– Jesteś...

Tak, oto przyszedł, mały i wygodny szpieg Lorda... (nie znał jego nazwiska). Będzie śledzić dla swojego pana nieprzyjaciół, będzie donosił i ostrzegał, warcząc i gryząc. Romes ostrożnie wyciągnął rękę. Kot spojrział na nią łaskawie i od niechcenia podszedł. Powąchał palce, oblizał się, po czym usiadł z powrotem, czekając.

– Chodź za mną – rozkazał wampir, nie tracąc czasu i ruszył powoli w stronę cmentarza. Zaraz jednak odwrócił się zaniepokojony. Pozostałe koty natychmiast dobiegły do niego i znowu kłębiły się, ocierając o nogawki.

– Hej! Wy zostajecie! Jazda! A sio! Wracajcie! – machał nerwowo ręką, ale zwierzęta ani myślały o powrocie. Tuliły się szczęśliwe wokół nóg i mruczały w najlepsze. Walka z nimi wydała się być beznadziejna.

Romes pokręcił się trochę zdenerwowany, nie chcąc nadepnąć któregoś. Ostatecznie lubił te zwierzęta, na swój sposób, oczywiście. Co z tym fantem zrobić, myślał gorączkowo. Pójdą za nim, tak czy inaczej. Odnajdą go zawsze i wszędzie. Nie uwolni się od całej tej miauczącej hałastry. Cholera, nie pomyślał o tym wcześniej. Potrafił bez problemu przywoływać zwierzęta, ale jeszcze nigdy nie udało mu się odesłać ich z powrotem! Do diabła, co ja wyprawiam, skarcił sam siebie, po czym skupił się, wpadając na wyjątkowo złośliwy pomysł. Już po chwili z całej okolicy zaczęły ścigać psy.

Wampir nie czekał na nic więcej. Chwycił kota-wybrańca na ręce i pobiegł w stronę cmentarza. Nieszczęśliwe,

osamotnione koty zobaczyły tylko smugę ruchu, jaką zostawił po sobie ich pan i władca. Rozległ się jeden wielki, żalorny jazgot i zwierzęta ruszyły pędem na poszukiwania.

Romes udał, że nic nie usłyszał. Dobiegł do bramy cmentarnej i uśmiechnął się zadowolony z siebie, ale dopiero kiedy ochłonał z emocji i dokładnie przyjrzał się kotu, którego wyciągnął przed siebie, znieruchomiał nieoczekiwanie. Przerażony wstrzymał oddech, zupełnie niepotrzebnie, gdyż i tak nie oddychał od bardzo dawna, a udawanie człowieka w tych okolicznościach nie miało sensu. Zamrugał gwałtownie, jakby chciał przegonić halucynacje. Właśnie dotarło do niego, że kot był biały jak śnieg, bez nawet najmniejszej łatki, czy plamki wokół nosa... niedobrze, oj, niedobrze...

Tymczasem gdzieś niedaleko rozszalała się kakofonia wściekłego ujadania i związane z nią odgłosy bezpardonowej walki, skowyt psów i darcie kotów. Zaraz potem dołączyły do niej krzyki podenerwowanych ludzi. Pozapałały się światła i wioska obudziła się wcześniej niż planowała.